
KIEROWNICTWO PRACOWNI

Harmonogramy karteluszkowe * Przychodnia przeciwgruźlicza * Synaj * Imieniny biurowe * Marzec 1968 * Białka Tatrzańska

W ostatnich dniach lutego 1966 r. pracownicy PW-2 urządzili spontaniczne zebranie w świetlicy biura. Nie było na nim tylko kierownika pracowni, gdyż przebywał wtedy poza biurem, a mnie koledzy poprosili o pozostanie w swym pokoju. Pracowałem więc sobie spokojnie przy desce rysunkowej. Dopiero po pewnym czasie zostałem przywołany do świetlicy, gdzie usłyszałem, że wszyscy mają już dosyć kierownictwa Z.Zguda i proponują, abym ja został kierownikiem pracowni. Byłem całkowicie zaskoczony tą propozycją, zresztą nieuprawnioną z punktu widzenia statutu biura, ale po niedługiej chwili zgodziłem się, gdyż też miałem dość chaotycznych działań naszego kierownika. Wtedy delegacja wiecujących poszła do dyrektora biura, celem przedstawienia mu wniosku załogi PW-2 o jak najszybszej zmianie kierownika pracowni.

Oczywiście, formalnie biorąc, decyzja w sprawie obsady kierowniczych stanowisk była w wyłącznej kompetencji dyrektora. Nie zgłosił jednak sprzeciwu, a tylko poprosił, aby pracownicy sami poinformowali o swym postulatcie aktualnego kierownika i zaproponowali mu, by sam złożył rezygnację. Tak też się stało i za kilka dni nasz dotychczasowy kierownik odszedł z biura, a ja, prawie z dnia na dzień, stałem się gospodarzem największej w biurze wielobranżowej pracowni projektowej, zresztą jak najbardziej z woli jej pracowników.

Zmieniła się więc moja sytuacja w biurze. Miałem odtąd zajmować się całą dokumentacją projektową, wykonywaną w pracowni PW-2. A pracownia była duża, liczyła ponad 40 zatrudnionych, aktualnie opracowywaliśmy kilkanaście dużych i średnich tematów i tyleż pomniejszych. Wszystko to było mi dobrze znane, choćby z tego powodu, że od kilku już lat pełniłem funkcję zastępcy kierownika PW-2.

W pracowni było 11 zespołów projektowych, w tym trzy architektoniczne, które spełniały rolę wiodącą. Pracowało w nich, oprócz mnie, 6 starszych projektantów, mgr inż. architektów. Byli to Halina Malinowska, Daniela Mazur, Krystyna Różyska, Wiesława Trella, Stanisław Cwizewicz, Adam Ścigalski. Największymi tematami projektowymi były dwie bazy produkcyjno-magazynowe "Naftobudowa" i "Metalzbyt" w Pławowie.

Do kierownika pracowni wielobranżowej należało rozpoznanie zleceń, jakie wpływały do pracowni, przygotowanie i zawarcie umów z inwestorami, rozdział pracy na poszczególne zespoły projektowe, koordynacja prac, kooperacja z innymi pracowniami, rozliczenia finansowe, rozdział premii kwartalnej między zespoły, prowadzenie całej korespondencji i reprezentacja pracowni wobec dyrekcji biura i na zewnątrz. Do wszystkich prac administracyjnych i rozliczeń finansowych pracownia zatrudniała pełnoetatową sekretarkę-ekonomistkę.

Najważniejszą i najtrudniejszą funkcją, jaką sprawował kierownik to była koordynacja pracy wszystkich zespołów i poszczególnych pracowników. Osobiście poświęcałem temu zagadnieniu najwięcej uwagi. Chodziło o to, żeby w każdym momencie wszyscy pracownicy mieli konkretne prace do wykonania, a równocześnie, aby poszczególne tematy projektowe były płynnie i w miarę szybko opracowywane, kończone, kompletowane i przekazywane inwestorom. Nie było to zadanie łatwe, zważywszy, że istniała ścisła specjalizacja branżowa wśród projektantów, tematy projektowe były bardzo różnorodne, o różnym stopniu trudności, niekiedy bardzo pilne. Przy tym trzeba się było liczyć z takimi trudnościami i problemami, jak przedłużające się decyzje administracyj-

ne, zwłaszcza uzgodnienia dokonywane poza biurem, urlopy, choroby poszczególnych pracowników itp.

Radziłem sobie z tym w ten sposób, iż opracowywałem zbiorcze harmonogramy prac dla wszystkich większych tematów i robiłem z nich wyciągi dla zespołów projektowych. Przypinałem je najczęściej do desek kierowników zespołów. Każdy wiedział więc kiedy mniej więcej powinien dany projekt skończyć i co będzie robić w następnej kolejności. Te robocze harmonogramy obejmowały zwykle czasokres kilku miesięcy. Bywało, że wpisywałem do nich także orientacyjne kwoty należne za opracowanie, więc pracownicy mieli możliwość obliczenia swych kwartalnych premii. Z zasady te moje harmonogramy nie były realizowane w takim tempie, jak zakładałem, i dlatego po 2-3 tygodniach wykonywałem nowe, uwzględniające zaistniałe zmiany, trudności i opóźnienia.

W sumie ta moja metoda opracowywania karteluszkowych, ciągle aktualizowanych harmonogramów, sprawdzała się w praktyce i owocowała rzeczywiście dużą wydajnością pracy projektantów i szybkim kończeniem prac projektowych. To też stosowałem je chyba przez całe 14 lat mej pracy na stanowisku kierownika pracowni.

Mimo pełnienia funkcji kierownika pracowni nadal parałem się bezpośrednio pracami projektowymi, chociaż w stopniu ograniczonym. Zwykle dotyczyły one tematów już wcześniej przeze mnie rozpoczętych, lub różnych pilnych inwestycji, których inni starsi projektanci w PW-2 nie mogli podjąć z uwagi na brak czasu. Do tych pierwszych należały 18-izbowa szkoła podstawowa, przychodnia rejonowa i przychodnia przeciwgruźlicza przy ul. Ułanów na osiedlu Wieczysta.

Wszystkie te trzy obiekty stanowiły jedną wspólną enklawę zabudowy o powierzchni ok. 4 hektarów i objąłem je jednym projektem zagospodarowania przestrzennego. Dla szkoły i przychodni rejonowej przyjąłem do zastosowania projekty typowe (dla szkoły projekt typu "Wierzbno"), z niewielkimi stosunkowo zmianami. Więc te prace mogły być wykonane w zespole przez asystentów. Natomiast indywidualny projekt przychodni przeciwgruźliczej opracowałem w całości sam.

Program tej przychodni był unikalny i przygotowany został przez krakowskich lekarzy specjalistów w leczeniu gruźlicy. Służyli mi oni cały czas swą konsultacją przy opracowywaniu koncepcji projektowej. Budynek zaprojektowałem jako parterowy, gdyż posiadał liczne wejścia z zewnątrz, miał 3,600 m³ kubatury.

Wszystkie te trzy budynki wybudowane zostały potem w ciągu trzech lat. Sam projekt przychodni przeciwgruźliczej został przez Ministerstwo Zdrowia uznany za wzorcowy i przyjęty jako powtarzalny do realizacji w innych dużych miastach. Nie interesowałem się tym jednak i wiadomo mi tylko o jednym jeszcze wykorzystaniu projektu.

W maju chłopcy wraz z Lonką poszli na Błonia Krakowskie, gdzie odbywała się wtedy prezentacja różnego rodzaju sprzętu i pojazdów wojskowych. Można było nawet wchodzić do ich wnętrza, a młodzi wojskowi udzielali wszelkich wyjaśnień o budowie, przeznaczeniu sprzętu itp. Budziło to zainteresowanie zwłaszcza młodzieży i dzieci. Lonkę interesowały natomiast nie tyle eksponowane pojazdy, co młodzi wojskowi je obsługujący. Więc wdała się z nimi w pogawędkę, nie pilnując naszych chłopaków, którzy w tłumie się zgubili.

Gdy spostrzegli, że są sami, powrócili do domu, trzymając się roztropnie cały czas za ręce. Po pewnym czasie odezwał się dzwonek do drzwi, była to Lonka, która wystraszona pytała czy chłopcy są w domu. Powiedziałem, że ich nie ma, i żeby odszukała ich na Błoniach. Przyszła ponownie za pół godziny, zziębnięta i wystraszona mocno, z nadzieją, że jednak sami trafili do domu. Uznałem, że wystarczająco została już ukarana swym strachem za lekkomyślność i brak starannej opieki nad naszymi dziećmi i zawołałem ich z ich pokoju.

Kiedy indziej bawili się wszyscy troje w swych pokojach, tarmosili na tapczanie, tak, że Lonka wraz z Grzesiem spadli na podłogę. Pech chciał, iż złamał on sobie obojczyk. Przez kilka tygodni musiał potem nosić odpowiedni usztywniający gorset gipsowy. 1 czerwca, z okazji święta Dnia Dziecka, w przedszkolu, do którego uczęszczali nasi chłopcy, urządzona została zabawa dla wszystkich wychowanków, połączona również z małym przyjęciem dla rodziców. Dzieci wystąpiły w różnych przebraniach, nasz Maciek paradował w czarnym cylindrze, a Grzesiu w biało-granatowym marynarskim ubranku, jakie kupiliśmy mu kilka dni wcześniej. Był z niego bardzo dumny, zwłaszcza z marynarskiej czapeczki, na otoku której była nazwa okrętu marynarki wojennej "WICHER". Kilka dni wcześniej Maciek otrzymał, też z okazji Dnia Dziecka, pierwszy zgrabny rowerek. Na czas nauki jazdy przy tylnym kole można było zamontować po bokach dwa małe kółeczka, zapewniające stateczność roweru. Była to wielka frajda dla obu synów, gdyż dzięki tym kółeczkom również Grzesiu mógł na rowerku jeździć.

W jedną z niedziel czerwca zaimprovizowaliśmy wyjazd do Parku Kultury i Wypoczynku w Chorzowie na Górnym Śląsku. Była słoneczna pogoda, ciepło, więc bez zbędnych bagaży, pojechaliśmy wczesnym pociągiem do Katowic, a stamtąd tramwajem do Parku. Czekaliśmy tu na nas, zwłaszcza synów, rozliczne atrakcje, z których, z uwagi na ograniczony czas, mogliśmy skorzystać tylko w małej części.

Zwiedziliśmy fragment Ogrodu Zoologicznego, a na dłużej zabawiliśmy w wesołym miasteczku. Tu chłopcy wdrapywali się do prawdziwych samolotów wojskowych oraz jeździli samolocikami, autkami i łódkami w małych basenach. Był to bardzo udany dzień, pełen niezapomnianych atrakcji, to też do Krakowa wróciliśmy dopiero o zmierzchu.



W Parku Kultury i Wypoczynku w Chorzowie



Na lipiec 1966 zaplanowaliśmy miesięczny urlop nad Bałtykiem. Nic z tego jednakże nie wyszło wobec trudności skorelowania mego i Kasi urlopu. Zmieniliśmy więc swe plany i wzorem poprzedniego roku znów zawieźliśmy dzieci do dziadków w Kępnie. Pojechała tam z nimi Kasia w połowie lipca na dwa tygodnie, po czym sama wróciła do pracy w Krakowie. Wkrótce, w różnych odstępach czasu, zjechali również do rodziców ma siostra z dziećmi i ciocia Nela. Siostra niedawno przeszła operację wycięcia migdałków i chorowała na reumatyzm. Wakacje w Kępnie były więc dla niej okresem rekonwalescencji po kilku tygodniach przebytych w szpitalu. Miała też we Wrocławiu problemy z chorobą matki swego męża, która cierpiała na paraliż nóg i nieuleczalną chorobę płuc. Wiele kłopotów przysparzał jej też syn Januszek, który zaniedbał się poważnie w nauce i groziła mu powtórka ósmej klasy.

Nasi chłopcy u swych dziadków znów mieli się bardzo dobrze. Zabawy na świeżym powietrzu, zdrowe odżywianie się - ser, jarzyny, owoce, mleko, jajka, cielęcina - spra-

wiały, że czuli się zdrowo i można powiedzieć, że "rośli w oczach". Tego lata główną dla nich atrakcją były kowbojskie zabawy z rówieśnikami z sąsiedztwa. Uzbrojeni byli w plastikowe rewolwery i mieli słomiane sombrerra. W czasie złej pogody grzywali z dziadkami w szachy i warcaby. Bywało, że płatali niekiedy złośliwe figle. Grześ bardzo chętnie pomagał babci w różnych jej pracach domowych. Raz przy mieleniu mięsa, gdy babcia wyszła na chwilę na podwórko, włożył do maszynki trochę plasteliny i przemienił ją na sznycle.



Znów u dziadków w Kępnie

czając do swych synków. Po tygodniowym pobycie zabrałem obu chłopców i udaliśmy się do nieodległego Wrocławia na kilka dni. Gościliśmy u mej siostry w jej starym mieszkaniu na Sępolnie. Prawie cały czas pobytu poświęciliśmy na zwiedzanie wspaniałego, największego w Polsce Ogrodu Zoologicznego i terenów wokół Hali Ludowej. Największą atrakcją dla chłopców była jednakże przejażdżka statkiem rzeczny po Odrze.

W ostatnich miesiącach roku współpracowałem ze Staszkiem przy projekcie dużej strzelnicy sportowej na Pasterniku w Krakowie. Projektowanie strzelnicy to oryginalna, wysoce specjalistyczna tematyka. Trzeba było zapoznać się z fachową literaturą na ten temat i konsultować ściśle z myślowymi i wojskowymi. Zaprojektowaliśmy liczne pawilony strzeleckie, socjalne, stanowiska strzelnicze do rzutków, stacjonarnych i ruchomych, wały ziemne, strefy ochronne itp. ogrodzenia.



Na statku na Odrze

Moja żona zawsze przywiązywała wielką wagę do różnego rodzaju upominków i przyjemności kulinarnych w związku z różnymi rocznicami imienin, Dnia Dziecka, Św. Mikołaja itp. Zwykle największe podarki otrzymywaliśmy wszyscy od Gwiazdorka pod choinkę. W 1966 r. nasi chłopcy znaleźli pod choinką prezent, który zapamiętali na całe życie. Był to konstruktor - bardzo duży, bogaty zestaw, właściwie cała skrzynia, małych perforowanych elementów metalowych z licznymi kółkami, zębatkami, śrubkami, prętami, linkami itp. Można było z tych elementów zbudować półmetrowej wysokości ruchomy, pracujący dźwig portowy, samochód ciężarowy, lub różne inne konstrukcje, zależnie od własnej fantazji i cierpliwości. Jja też zabawiałem się tym konstruktorem.

W ogóle nasi chłopcy mieli zawsze dużo zabawek od najmłodszych swych lat. Najpierw były to drewniane lokomotywy, samochodziki, klocki do układania itp. Później przeważały zabawki mechaniczne: samochody zdalnie sterowane, helikopter na uwięzi, czołg na gumowych gąsienicach, wreszcie elektryczna kolejka PIKO produkcji NRD. Ta ostatnia podlegała ciąglej rozbudowie. Na dużej drewnianej tablicy chłopcy przedłużali tory, przy których powstawały stacje, perony i semafore, jak również dokupywali wciąż nowe wagoniki osobowe, towarowe, cysterny itd.

W jakimś momencie nastąpiła era sklepanych plastikowych, kolorowych samolocików. Były wśród nich wierne kopie przeróżnych typów samolotów z całego świata: śmigłowych, odrzutowych, helikopterów; cywilnych i wojskowych; modele z lat II wojny

światowej i najnowsze. Grześ zawieszał je potem na linkach rozpiętych pod sufitem w swym pokoju i tak sobie wisały przez miesiące i lata całe.

Były sytuacje, że starałem się ograniczać nieco te zakupy zabawek, bo to zwykle dużo kosztowało. Moja mama też mi mówiła: "Po co wydajecie tyle pieniędzy na takie drogie zabawki, lepiej jeśli chłopcy sami coś zmagają, będą to bardziej szanować". Jak zawsze miała rację, o czym świadczyć mogło to, że zwykle te zabawki po pewnym, raczej niezbyt długim czasie, lądowały w pawlaczach, w piwnicy lub zgoła na śmietniku.

W pierwszej połowie kwietnia 1967 r. z całą rodziną pojechaliśmy na turnus wczasowy do Szklarskiej Poręby. Zamieszkaliśmy w tym samym domu wczasowym, w którym rok wcześniej była żona z dziećmi. Jeszcze tu i ówdzie leżał śnieg, ale szybko topniał i zrobiło się prawie lato. Zaczęliśmy więc pobyt w Szklarskiej w zimowych okryciach, a kończyliśmy, opalając się na ławkach Esplanady. Ustalonym już zwyczajem chodzili-



Na spacerze

śmy na wszystkie organizowane przez instruktora k.o. wycieczki i oczywiście zabieraliśmy ze sobą naszych chłopców. Zwiedzili więc bez mała wszystko, co w Szklarskiej Porębie i okolicach jest do zwiedzania, łącznie z zaporą w Pilichowicach i Zakrętem Śmierci. Zwiedziliśmy także uroczą miejscowość Świeradów Zdrój, położoną w pobliskich Górach Izerskich. Jest to najbardziej na zachód wysunięty ośrodek wypoczynkowo-uzdrowiskowy w paśmie Gór Sudeckich, znany z leczniczych wód mineralnych. Piliśmy je w wielkiej, stylowej, drewnianej pijalni w centrum miasteczka.

Wszystkie te wycieczki organizowała miła, starsza pani, która jako instruktorka kulturalno-oświatowa obsługiwała kilka domów wypoczynkowych w Szklarskiej Porębie. Pracowała na tym stanowisku już 20 lat i była świetną znawczynią historii, topografii, flory i fauny całego terenu Karkonoszy i ich Pogórza. Jej mąż, Rumun, był fotografem i także pracował dla FWP. Zaprzyjaźniliśmy się z nimi, gdyż mieliśmy wspólne zainteresowania, a łączyła nas zwłaszcza sympatia i zauroczenie całym polskim Pogórzem Sudeckim. Nasza k.o. organizowała też często ogólne świetlicowe spotkania wczasowiczów, urozmaicane potańcówkami i wspólnymi zabawami i grami. Dzieci do zabaw miały oddzielną salkę. W ogóle turnus wczasowy zakończył się wielkimi balami dla dorosłych i dzieci.

Raz, gdy wracaliśmy późnym popołudniem, śpiesząc się, przez las na kolację do naszego DW - Maciek bardzo się naprzykrzał, aby mu coś kupić. Zdenerwował mnie wtedy bardzo, podniosłem z ziemi jakiś patyk i uderzyłem go tym patykiem kilka razy po siedzeniu, aż się uspokoił. Było to pierwsze lanie jakie doświadczył z mej ręki, ale też i ostatnie.

Wczesną wiosną 1967 r. umarła, po ciężkiej chorobie, matka mego szwagra Tadeusza. Nie byliśmy na pogrzebie, za to wracając ze Szklarskiej Poręby zatrzymaliśmy się na dwa dni we Wrocławiu. Przyjechała wtedy również moja mamusia z Kępna. Poszliśmy wspólnie na cmentarz na Sępolnie. Grób mamy Tadeusza był jeszcze świeży, cały obsadzony kolorowymi bratkami i z tymczasowym krzyżem. Była piękna pogoda, więc spacerowaliśmy w okolicy cmentarza wzdłuż Kanału Odrzańskiego.

Mieszkając na Salwatorze w Krakowie mieliśmy stosunkowo blisko do wielu rekreacyjnych zespołów parkowo-leśnych. Wykorzystywaliśmy to i często wychodziliśmy

wraz z dziećmi na wspólne spacer. Najbliżej nam było do Parku Jordana, gdzie chłopcy jeździli na rowerkach, lub korzystali z huśtawek, przepłotni i innych urządzeń zabawowych dla dzieci. Niewiele dalej chodziliśmy na wzgórze pod Kopcem Kościuszki, tam można się było latem opalać, a w zimie jeździć na sankach. Gdy było więcej czasu i odpowiednia pogoda, wówczas jechaliśmy do Łasku Wolskiego i Ogrodu Zoologicznego. Często na Błoniach organizowane były różnego rodzaju kiermasze, występy estradowe, imprezy typu skoki spadochronowe, zawody hippiczne, pokaz tresury psów, gościł cyrk lub instalowane były okresowo karuzele dla dzieci. Braliśmy w tym wszystkim udział, jeśli tylko dogadzało to naszym milusińskim. Podobnie było z imprezami urządzanymi w Rynku Głównym.

W moim biurze Związek Zawodowy urządził w tych sześćdziesiątych latach dość regularnie seanse filmowe dla dzieci pracowników. Mieliśmy niedużą świetlicę, wyposażoną w małą kabinę projekcyjną, która po zasłonięciu okien zamieniała się w salę kinową. Seanse odbywały się o określonej godzinie w niedziele, wstęp był wolny dla dzieci pracowników, a jeszcze urządzaliśmy różne konkursy ze słodkimi nagrodami. Wyświetlane były przede wszystkim filmy animowane, w tym niekończący się serial "Bolek i Lolek". Dzieci go bardzo lubiły, zwykle frekwencja była duża, a na sali siedzieli również moi synowie.

W dniu 5.06.1967 roku doskonale wyszkolona i wyekwipowana armia izraelska dokonała zbrojnej agresji na Egipt. Spotkało się to z jednoznacznym potępieniem we wszystkich państwach arabskich, a ponad to jeszcze tylko w trzech liczących się stolicach świata: Moskwie, Paryżu i Warszawie. Wszystkie pozostałe państwa zachodnie i reszta świata przyjęły argumentację Izraela o jego obronie przed agresywnymi działaniami Egiptu. Według niej to Izrael był ofiarą wojny, a zaatakowane Egipt, a później Jordania i Syria - agresorami. Młode państwo żydowskie prezentowano jako sprawiedliwego, szlachetnego i dzielnego Dawida, zaś ościennie kraje arabskie jako krwiożerczego Goliata.

W ogóle można powiedzieć, że obok gorącej wojny, świat przeżył wówczas równie zawziętą wojnę propagandową. Już na długo przed akcjami zbrojnymi prasa zachodnia, zresztą w dużym stopniu zależna od kapitałów pochodzenia żydowskiego, urabiała opinię publiczną przeciwko państwom arabskim, otaczającym Izrael. Pisano o ich przygotowaniach do napaści na Izrael, o ich groźbach, że potopią Żydów w morzu, o napaściach komandosów arabskich na osiedla osadników żydowskich itp. Potem odpowiedzialność za rozpoczęcie działań wojennych obarczono Zjednoczoną Republikę Arabską, a personalnie prezydenta G. Namera. I takie też nagłówki "Egipt zaatakował Izrael" ukazały się na pierwszych stronach gazet zachodnich. To wyrażanie przekonania o bezprawnej agresji Arabów i usprawiedliwionej obronie Izraela utrzymane zostało przez wiele lat. Tak więc wojnę propagandową wygrał Izrael i ośrodki mu przychylnie bez większego trudu.

Swą wojnę gorącą Izrael rozpoczął od jednoczesnego ataku lotniczego na wszystkie 12 lotnisk wojskowych na terenie ZRA. Po czym kolumny pancerne i zmotoryzowane zaatakowały egipski Synaj, a po kilku dniach Jordanię, a następnie Syrię. Po niespełna tygodniu nierównych walk Izrael wygrał również swą błyskawiczną wojnę gorącą, osiągając wyznaczone cele, a to: rozbięcie armii trzech ościennych państw arabskich, zajęcie Półwyspu Synaj, wzgórz Golan w Syrii i terenów do rzeki Jordan. Wszystkie te terytoria włączone zostały niezwłocznie do państwa Izrael.

Osobiście nie miałem żadnych wątpliwości, że agresorem jest Izrael, wspierany bardzo wydatnie przez Wielką Brytanię, a zwłaszcza Stany Zjednoczone, które rozgrywały na scenie bliskowschodniej swe rozliczne własne interesy. Jednym z nich była

chęć upokorzenia państw arabskich w regionie i odcięcie ich od wpływów ZSRR, narażających po poprzedniej wojnie na Synaju w 1956 roku. Już ten moment wystarczyło, by po stronie Izraela wypowiedzieli się zdecydowanie najzgorzalsi nawet antysemita.

Ja taki przykład miałem w bezpośrednim wym otoczeniu. Całkiem niedawno, kilka miesięcy temu, w czasie pewnej podróży autokarem, prowadziłem ożywioną dyskusję z jednym z moich kolegów na temat Holocaustu lat wojny. On starał się mnie przekonać, że Hitler zrobił wielką przysługę Polsce, eksterminując ludność żydowską. Ja natomiast tłumaczyłem mu, że przeciwnie, Polska bardzo dużo straciła, gdyż pozbawiona została swej podstawowej warstwy inteligencji oraz szerokiej rzeszy profesjonalnych kupców i rzemieślników, bez których odbudowa kraju została znacznie utrudniona. Oczywiście względy ludzkie, humanitarne nie miały dla mego kolegi najmniejszego znaczenia.

I oto w czerwcu 1967 roku, ten typowy, skądinąd sympatyczny antysemita, autentycznie cieszył się ze zwycięstw Izraela, a gromił Arabów za agresję i prześladowanie przez nich biednej ludności żydowskiej. Chętnie powtarzał różne, zasłyszane w radiu "Wolna Europa", kawały o dzikich Arabach, podobnych zresztą do kawałów, jakie opowiadał mi wcześniej o Żydach w Oświęcimiu. Jeden zapamiętałem, jak to strachliwi żołnierze egipscy tak szybko uciekali, że gubili buty na pustyni. Powiedziałem mu, że jest to makabryczny kawał o tym, jak Izraelczycy całym rzeszom jeńców kazali zdejmować buty i uciekać na bosaka przez rozpalone piaski pustyni Synaj do Kanalu Sueskiego, skazując ich w ten sposób na pewną śmierć w okrutnych męczarniach.

Dopiero po dwudziestu latach, po oddaniu dokumentów i ujawnieniu szeregu faktów poprzedzających wojnę - ocena, że to Izrael z premedytacją przygotował militarnie, psychologicznie i propagandowo, a potem zrealizował tę błyskawiczną wojnę w czerwcu 1967 roku, zapanowała powszechnie. Oczywiście, kto chciał to przyjąć kolejny blamaż, że była to wymuszona wojna prewencyjna, a więc tak czy siak, jednak słuszna i sprawiedliwa.

W szczególności w latach 80. ujawniono między innymi fakt przeprowadzenia uzgodnień zamierzonej wojny przez dyplomację Izraela ze swymi zachodnimi sojusznikami, to jest USA, W. Brytanią i Francją. Izrael nie chciał bowiem powtórzyć błędu z 1956 r., gdy przygotowany wspólnie z W. Brytanią i Francją atak na Synaj, nie został skonsultowany wcześniej ze Stanami Zjednoczonymi. W rezultacie potępiły one potem agresję Izraela i twardo żądały wycofania jego wojsk z zajętych terenów egipskich na półwyspie Synaj.

W 1967 roku i USA i W. Brytania odniosły się pozytywnie do zamiarów Izraela i wsparły go wydatnie i otwarcie propagandowo, zaś skrycie militarnie. Jedynie prezydent Francji Charles de Gaulle zgniał izraelskiego ministra spraw zagranicznych A. Ebana, oświadczając mu, że wprawdzie Izrael zapewne wygra swą wojnę w ciągu tygodnia, ale Arabowie zjednoczą się i nie ustaną w walce, dopóki nie odbiorą swych ziem. I ostrzegł proroczo, że przegrana przez Arabów wojna spowoduje pojawienie się terroryzmu, przedtem w świecie nieznanego. Później, po nie przyjęciu jego rad, by Izrael raczej próbował się porozumieć z Egiptem w sprawie pokojowego rozwiązania spornych problemów - de Gaulle przyłączył się do ZSRR i Polski w potępieniu państwa izraelskiego jako agresora.

To stanowisko trzech wielkich dysydentów, odmienne od stanowiska prawie całej reszty świata, spotkało się z bardzo ostrą krytyką. W przypadku rzeczywiście wielkiego ZSRR krytyka ta była (tymczasem) bezsilna. Natomiast pozostali "pryncypialni" politycy, reprezentujący Francję i Polskę, tj. Charles de Gaulle i Władysław Gomułka rychło ponieśli konsekwencje swego lekkomyślnego wypowiedzenia się przeciwko żydowskiemu państwu. Wobec obu rozpoczęła się wówczas światowa i lokalna nagonka. Obwiniano ich o antysemityzm, choć akurat obaj całą swą dotychczasową działalnością świadczyli,

że był on im absolutnie obcy. Zarzucano im despotyzm, nacjonalizm, antyklerykalizm, wrogość do demokracji w ogóle.

W lipcu znów podrzuciłem dzieci rodzicom w Kępnie. I znów było im tam bardzo dobrze. Objadali się truskawkami ze śmietaną oraz porzeczkami, malinami i czereśniami, które sami zrywali. Była upalna pogoda więc opalili się obaj na murzynów. Znów, jak w poprzednich latach, gościli u dziadków także ciocia Nela i moja siostra z dziećmi, które przyjechały w różnym czasie. Dużą frajdą było urządzenie w ogrodzie przez Grażynę prawdziwego namiotu. Po dwu tygodniach przyjechała do Kępna również Kasia. Zabawiła tam jednakże tylko kilka dni, po czym zabrała chłopców i w trójkę pojechali na trzy tygodnie nad Bałtyk.



Zamieszkali w niewielkiej miejscowości wypoczynkowej Mikoszewo na wschód od Gdańska. W tym samym czasie przebywali w Mikoszewie również moi znajomi Ćwizewiczowie, z którymi wspólnie pracowałem w biurze projektowym, stanowiąc zresztą jeden architektoniczny zespół projektowy. Byli wraz ze swym synem, starszym o kilka lat od naszego Maćka. Wszyscy przez większą część dnia przebywali na plaży, gdyż prawie przez cały turnus mieli piękną, słoneczną pogodę. Moi chłopcy zawzięcie budowali domy i zamki z mokrego piasku, a Kasia głównie opalała się z Hanią Ćwizewiczową. Wieczorami starsi grywali w brydża. Po tygodniu przyjechała do Mikoszewa również moja siostra Halina z synem Januszem. Od tego czasu nasi chłopcy głównie bawili się piłką i zażywali kąpieli w falach Bałtyku. Były to pierwsze wczasy mych synów nad morzem i w ten sposób prześcignęli mnie, bo ja dotąd nad morzem nigdy nie urlopowałem.

Na plaży w Mikoszewie

Od pierwszego września nasz starszy syn, prawie siedmioletek rozpoczął edukację w szkole podstawowej nr 19 przy ul. Młaskotów. Miał do szkoły bardzo blisko, raptem kilka minut spacerkiem. Szkoła była usytuowana po przeciwnej stronie ulicy w stosunku do przedszkola i odtąd żona rano odprowadzała obu synków równocześnie, jednego do przedszkola, drugiego do szkoły, po czym sama udawała się do pracy.

Budynek szkolny wybudowany został kilka lat po wojnie, posiadał dwa piętra i dobudowaną parterową salę gimnastyczną oraz w ogóle prezentował się bardzo dobrze. Na dziedzińcu przyszkolnej było boisko, bieżnia, skocznie, plac zabawowy, placyk przedwejściowy, ogródek szkolny i stosunkowo dużo wysokiej zieleni. Szkoła posiadała świetlicę-jadalnię dla dzieci z pełnym zapleczem kuchennym. Zapisaliśmy więc Maćka na obiady szkolne, gdyż szybciej kończył naukę, niż ja i żona wracaliśmy z pracy. W związku z tym korzystał też ze świetlicy, odrabiając w niej lekcje.

W dniach 6-12 września przebywał w Polsce prezydent Francji Charles de Gaulle. Jego obecność w Gdańsku, a zwłaszcza w Zabrzdu, które określił jako "najbardziej polskie ze wszystkich polskich miast", świadczyła o pozytywnym stosunku Francji wobec naszych Ziemi Zachodnich. Był też w Warszawie, Katowicach, Oświęcimiu i Krakowie. Wszędzie witały go ogromne tłumy ludzi. Jechał zwykle otwartym samochodem, który często przystawał, a wtedy generał udzielał autografy i wymieniał uściski dłoni z przygodnymi widzami. Przejeżdżając ul. Lubicz w Krakowie ucisnął również rękę mej żony. Po wielu latach fakt ten był dla mnie kanwą pewnej dywagacji małżeńsko-politycznej. Mianowicie, gdy oskarżono prezydenta A. Kwaśniewskiego o zdradę państwową, bo wystąpił na jakimś grupowym zdjęciu z agentem rosyjskim Auganowem - to wtedy mó-

wiełem, że moja żona na pewno zdradzała mnie z Charles de Gaulle'm, gdyż są żywi świadkowie, że uściśli sobie ręce.

Jesienią przyjechał do Krakowa mój ojciec, właściwie po raz pierwszy od czasu naszego zamieszkania w spółdzielczym mieszkaniu. Bardzo mu się u nas podobało, a zwłaszcza udogodnienia, związane z wyposażeniem mieszkania w bieżącą wodę, gaz, wannę, ubikację, centralne ogrzewanie. Nigdy tych zdobyczy cywilizacyjnych w swym życiu nie doświadczył. Nawet w posiadanym w Kępnie zupełnie przyzwoitym domu, wodę rodzice czerpali wiaderem na drągu ze studni usytuowanej na podwórku, do ogrzewania pokoi służyły kaflowe piece opalane węglem, "sławojka" była za stodołą i tyle tylko, że budynek wyposażony był w instalację elektryczną. Rodzice mieli jedynie szansę na podłączenie swego domu do instalacji wodociągowej, którą wreszcie na ich ulicy wykonano. Lecz nie mogłaby być ona w pełni wykorzystana, bo brak było ulicznej sieci kanalizacyjnej

To też ojciec, zwłaszcza po gorącej kąpeli w wannie, widząc przyrządzanie potraw na kuchence gazowej, czy odkurzanie dywanów przy pomocy elektroluksu, powtarzał wielokrotnie: "Dobrze i wygodnie żyć". Chwalił też posiłki, jakie jego synowa przygotowywała i wszystko mu bardzo smakowało. Byliśmy z ojcem na spacerze w rejonie Kopca Kościuszki, a także zwiedziliśmy krakowską Starówkę. Ojciec był już kilka razy, w różnych okresach czasu, w Krakowie, i stwierdził, że miasto bardzo się zmieniło.



Zabawił jednakże u nas jedynie dwa dni, bo w Kępnie czekała go praca w ogrodzie oraz polu i musiał jechać by pomóc "matce" w robocie przy gospodarstwie. Dodatkowo w okresie roku szkolnego rodzice mieli nieco pracy, związanej z obsługą kilkunastu młodych lokatorów, którzy kwaterowali w mieszkaniu na poddaszu ich domu. Była to młodzież męska z dalszych wsi, uczęszczająca do szkół zawodowych w Kępnie. Rodzice brali od nich bardzo niskie opłaty, ale też chłopcy spali na piętrowych łóżkach w dużym zagęszczeniu. Za dodatkowe usługi, herbatę, ewentualne posiłki, płacili odrębnie. W ten sposób rodzice uzyskiwali dodatkowy dochód poza emeryturą ojca. Przy czym od początku tego roku ojciec pobierał emeryturę odpowiednio powiększoną, w związku z otrzymaniem Krzyża Kawalerskiego Odrodzenia Polski za udział w Powstaniu Wielkopolskim i 3-im Powstaniu Śląskim.

Za to rodzice starali się nieco ograniczyć prace fizyczne w swym gospodarstwie. Ojciec miał już wtedy 71 lat i wprawdzie nie skarżył się na swe zdrowie, ale faktycznie to dokuczał mu reumatyzm, będący konsekwencją jego przedwojennej pracy w Straży Granicznej. To też znaczną część swego pola wydzierżawili sąsiadującemu z nimi rolnikowi oraz sprzedali krowę, która wymagała bardzo dużo zachodu, kupując w zamian kozę, by mieć trochę mleka na własny użytek.

Niezmienne natomiast mama przysyłała nam regularnie paczki z żywnością. Były w nich mięso królicze, cielęcina, suszone grzyby, ser, masło, śliwki i inne owoce i warzywa. A od czasu do czasu również wełniane skarpetki dla chłopców, które sama robiła na drutach i kolorowe fartuszki kuchenne dla Kasi, jakie sama szyła na swej wysłużonej maszynie "Singer".

Większość zatrudnionych w PW-2 była po wyższych studiach technicznych, odbytych oczywiście już po wojnie. Stąd przeważali pracownicy mający po 30-42 lata. Jesz-

cze młodszą grupę stanowili kreślarze, będący po średnich szkołach technicznych. Natomiast w wieku ponad 50 lat była w pracowni tylko jedna osoba. W tym czasie zaczęła się już wyraźna ilościowa dominacja kobiet w biurach projektowych. Można powiedzieć, że feminizowały się one szybko, podobnie jak np. zawody nauczycielskie i lekarskie. Co raz więcej kobiet w biurze było też starszymi projektantami, kierującymi własnymi zespołami projektowymi, a nawet wyjątkowo pracowniami. Nie znam jednak przypadku sprawowania przez kobietę stanowiska dyrektora, czy naczelnego inżyniera w jakimś biurze projektowym, przynajmniej na terenie Krakowa.



Zbliżony wiek pracowników, podobne sytuacje rodzinne i charakter pracy zawodowej, zmuszający do współpracy, powodowały, że w pracowniach panowały stosunki prawdziwego koleżeństwa i szczerzej, wzajemnej przyjaźni. Widoczne to było szczególnie przy okazji różnego rodzaju spotkań nieformalnych, np. na wycieczkach, imprezach i zabawach organizowanych przez biuro, przy okazji przyprowadzania swych dzieci na zabawy czy filmy wyświetlane dla nich w biurze itp.

Przejawiało się to też w zbiorowym obchodzeniu imienin współpracowników. W dużym skrócie wyglądały one tak, że składano jubilatowi indywidualne bądź zbiorowe życzenia i symboliczne małe prezenty, a on częstował przybyłych słodyczami, kawą itp. Niekiedy te

Mam 42 lata imieninowe imprezy ograniczały się jedynie do zespołu projektowego, czyli jednego pokoju, rzadziej ogarniały całą pracownię. W każdym bądź razie zapamiętałem jedno takie imieniny kolegi Ludwika Niedzielskiego, który w ramach poczęstunku serwował świeżo smażone na maselku ślimaki winniczki. Były bardzo smaczne i pikantne, przy czym delektowałem się nimi wówczas po raz pierwszy, zresztą również po raz ostatni.

Te uroczystości imieninowe oczywiście zakłócały normalny tok pracy całej pracowni, mimo, iż odbywały się pod koniec dnia pracy. To też wysunąłem kompromisową propozycję, by obchodzić w ciągu roku tylko jedno składkowe, zbiorowe imieniny w dniu 6 grudnia, czyli przy okazji św. Mikołaja. Pomysł chwycił i przez kilka lat PW-2 obchodziła zbiorowe, symboliczne imieniny wszystkich swych pracowników tylko raz, ale za to z rozmachem.

Głównym punktem imprezy było rozdawanie prezentów przez Św. Mikołaja, którym był wysoki i masywny Staszek Ćwiżewicz. Prezenty były zwykle bardzo różnorodne, np. budziki dla spóźnialskich, rajstopy, czekolady, a często śmieszne i oryginalne, jak np. 10 paczek, jedna w drugiej, a w ostatniej najmniejszej - guzik. W ich losowaniu i wybieraniu z wielkiego kosza pomagał urodziwy aniołek w osobie Helenki Janeczek, a przeskadzał niesforny diabeł, za którego przebrany był Kazik Zabiegaj, na którego i tak mówiono "mefisto", ze względu na jego wielkie krzaczaste brwi.

W 1967 roku imieniny obchodziliśmy jeszcze indywidualnie. Na moje otrzymałem, między innymi, wierszowany panegiryk, ułożony przez dyżurną poetkę pracowni Hanię Ćwiżewicz. Załączam jego fragment:

"Więc życzenia Ci składamy najpiękniejsze i najlepsze,
Byś jak dotąd z powodzeniem do przyszłości wiodł nas lepszej.
By tematy dla pracowni te najtłustsze się trafiały,
A limity przerobowe milionowe przez rok cały!
Dziel pieniążki sprawiedliwie, miej ich stosy na twym stole,
Gdyż już dawno ktoś powiedział, że pecunia ni ciut olet."

Jednym z poważniejszych projektów aktualnie opracowywanych w PW-2 był projekt generalnego remontu restauracji "Wierzynek" w Ryнку Głównym 15. Ta najstarsza

w Krakowie restauracja zawdzięcza swą nazwę kupcowi i bankierowi krakowskiemu, żyjącemu w XIV wieku, który tę restaurację założył. Nosi ona jeszcze nazwę królewskiej, gdyż Wierzynek podejmował w niej wielokrotnie króla Kazimierza Wielkiego, a także innych monarchów

W 1967 rozpoczęto jej wielki powojenny remont i przebudowę, która polegała na zaadaptowaniu całego 4-piętrowego budynku wraz z oficynami na potrzeby restauracji. W szczególności w piwnicach zaprojektowaliśmy duże magazyny i stylową winiarnię, a parter oraz I i II piętra zajęły sale konsumpcyjne oraz kuchnie, przy czym oficyny zaadaptowane zostały na zaplecze kuchni. Na ostatnich dwóch górnych kondygnacjach powstały biura i mieszkania służbowe, a na strychu supernowoczesna kotłownia gazowa centralnego ogrzewania, działająca automatycznie i obsługująca cały sąsiedni kwartał czterech budynków zabytkowych. Do restauracji włączona została jeszcze tak zwana Sala Rycerska, mieszcząca się na I piętrze sąsiedniego budynku.

W trakcie robót budowlanych odkryto pod późniejszymi tynkami kilka starych polichromii, rzeźbione kamienne pilastry i łęki oraz ozdobne drewniane kasetony stropowe. Wszystko to starannie odrestaurowano i odpowiednio eksponowano. W ogóle w trakcie projektowania wnętrza zabytkowego "Wierzyńka", główny projektant Adam Ścigalski musiał wiele czasu poświęcić na studiowanie historii architektury wnętrza, a znaczną część prac wnętrza wykonywały zespoły specjalistów z Krakowskiej Pracowni Konserwacji Zabytków. Ja częściowo włączyłem się bezpośrednio do prac projektowych, opracowując projekt technologii kuchni restauracyjnych wraz z ich zapleczem.

Po ukończeniu rozbudowy i remontu "Wierzyńka" stał się on niewątpliwie najbardziej reprezentacyjnym lokalem gastronomicznym w Krakowie. W poszczególnych salach konsumpcyjnych, hollu, szatniach dominują boazerie, marmury, lustra, złocenia, a ściany ozdobione są obrazami, arrasami, historycznymi rekwizytami. Stało się zwyczajem, zresztą zgodnie z wielowiekową tradycją, że goszczą w nim najdostojniejsze osobistości, zwłaszcza koronowane głowy, wizytujący Polskę. Ponad to odbywają się tu przeróżne wystawne bankiety, uroczystości weselne, przyjęcia okolicznościowe itp.

Drugim znaczącym projektem, opracowywanym w tym czasie w pracowni był projekt dużego domu kultury w Myślenicach. Głównym projektantem tego obiektu, zrealizowanego potem w ciągu kilku lat, była Halinka Malinowska, przy współpracy A. Ścigalskiego.

Zaś Staszek Ćwizewicz rysował projekt wstępny budynku produkcyjno-biurowego dla Spółdzielni Bieliźniarzy w Krakowie. W pewnym momencie włączyłem się bezpośrednio do tych prac projektowych, wykonując technologię produkcji i plan zagospodarowania przestrzennego działki inwestycji. Obiekt ten nigdy nie został jednakże zrealizowany. Wkrótce potem Staszek zabrał się do projektowania dużego piętrowego pawilonu handlowego na osiedlu Azory w Krakowie. Musieliśmy się bardzo spieszyć, bo to duże osiedle było już prawie całkowicie zamieszkałe i istniała pilna potrzeba jak najszybszego uruchomienia projektowanego przez nas supermarketu. I w tym przypadku, chyba dla dotrzymania terminu, włączyłem się bezpośrednio do prac projektowych.

W marcu, z okazji Dnia Kobiet 8 marca, zafundowałem rodzinie trzydniowy pobyt w Zakopanem. Wynajęliśmy pokój w jednym z pensjonatów orbisowskich i cały czas poświęciliśmy na wędrowkę i zwiedzanie samego Zakopanego i okolicy. Przy pięknej, słonecznej pogodzie znów spacerowaliśmy po uroczych dolinkach górskich, a chłopcy jeździli na saneczkach w rejonie trzech skoczni. Oglądaliśmy też z daleka efektowne skoki narciarskie na dużej skoczni, na której odbywały się w tym czasie ogólnopolskie zawody w tej dyscyplinie. W tym samym czasie przebywała również w Zakopanem na wczasach Wanda Brachowska ze swą córeczką Beatką. Razem więc spacerowaliśmy

po Krupówkach i opalaliśmy się na Gubałówce, zwłaszcza że ociepliło się gwałtownie i śnieg zaczął szybko znikać.

Nasi przyjaciele Brachowscy otrzymali wtedy w Krakowie nowe spółdzielcze mieszkanie. Po jego częściowym umeblowaniu, z jakiejś rocznicowej okazji, urządzili oni małe, okazjonalne przyjęcie, zapraszając swych krewnych i kilka zaprzyjaźnionych małżeństw. Byliśmy na tym przyjęciu, po którym w mniejszym gronie wybraliśmy się na spacer po okolicy. To trzypokojowe mieszkanie w nowiułtkim bloku miało tylko jedną, ale dokuczliwą wadę. Położone było tuż przy ruchliwych torach kolejowych, przy czym między nimi a budynkiem budowano jeszcze tranzytową szosę. Ja zawsze mieszkałem w cichych ustronnych miejscach i na tak hałaśliwe mieszkanie chyba bym się nie zdecydował. Ale podobno do wszystkiego można się przyzwyczaić, a poza tym po pewnym czasie budynek, w którym mieszkali nasi przyjaciele, odgradzony został od drogi i torów kolejowych wysokim murem betonowym, służącym jako akustyczny parawan.



Nasi chłopcy i Beata Brachowska

W pierwszym półroczu 1968 r. było bardzo niespokojnie prawie w całej Europie. Miała miejsce destabilizacja polityczna we Włoszech, Niemczech Zachodnich, Hiszpanii, Czechach, Polsce, Jugosławii, a w największym wymiarze we Francji, gdzie nieustannie nasilała się krytyka działań rządu, a głównie prezydenta Charles de Gaulle'a. Przeciwno niemu występowali nawet niektórzy członkowie jego rządu, ultrasi algierscy, hierarchia kościoła katolickiego, środki masowego przekazu i koła proamerykańskie, zwłaszcza związane z kapitałem żydowskim. Zwalczały go też wszystkie związki zawodowe, głównie na tle żądań socjalnych. Buntowali się chłopcy, studenci, robotnicy.

Zaczęło się w styczniu od strajku górników w zagłębiu węglowym płn. Francji. Po tem przyszły wielkie demonstracje studentów, protestujących przeciwko niedoinwestowaniu wyższych uczelni, w których studenci tłoczyli się w przeludnionych wydziałach. Dołączyli do nich licealiści, młodzieżowi emigranci arabscy, tureccy oraz różne grupy hippisowskie, lewackie i maoistowskie. Niewątpliwie znaczący wpływ na te masowe kontestacje młodzieżowe miał wielki wyz demograficzny, jaki w drugiej połowie lat sześćdziesiątych przeżywała Francja, zresztą również prawie cała Europa.

Najgorszy był miesiąc maj, gdy miały miejsce masowe strajki, manifestacje, rozruchy i barykady w Paryżu. Francja znalazła się wówczas niemalże na progu wojny domowej, gdy majowy strajk powszechny, połączony z okupacją fabryk, objął prawie 10 milionów robotników i pracowników wszystkich branż. Napiętą sytuację rozładowały dopiero ponowne otwarcie Uniwersytetu Sorbony, uwolnienie aresztowanych demonstrantów, rozwiązanie parlamentu i rozpisanie ponownych wyborów do niego w czerwcu tegoż roku. A także zapowiedź reform w gospodarce i zarządzaniu państwem. Ale na gonka na gen. de Gaulle'a nie ustawała.

W Polsce, od czasu znanego antysyjonistycznego wystąpienia Władysława Gomułki w czerwcu 1967 r., krytyka skierowana była początkowo głównie przeciwko niemu, jako sternikowi nawy państwowej. Rychło jednak rozszerzona została także na cały system władzy i ustrój państwa. Przy czym bezpośrednim przedmiotem ataku stały się przede wszystkim sprawy wolności wypowiedzi i publikacji, w szczególności krytykowano zwłaszcza oficjalną cenzurę prasy i innych środków masowego przekazu, oraz ograniczenia wolności obywatelskich.

Poszczególne ośrodki opozycyjne zawiązały się głównie na uczelniach. Ich przywódcami zostali młodzi, ambitni studenci i kontestujący intelektualisci. Spora część z nich było pochodzenia żydowskiego, w tym wielu dzieci prominentnych działaczy państwowych i partyjnych. Trzeba przypomnieć, że w powszechnej opinii publicznej, a także faktycznie, władze Polski Ludowej opierały się i wspomagane były, od swego zarania, przez elity inteligencji pochodzenia żydowskiego. Działali oni zwłaszcza w sferze ideologii, reprezentując wyraziście nurt socjalistyczny, przy czym jednoznacznie proradziecki. Po czerwcu 1967 r. stan ten odmienił się radykalnie o 180 stopni. Obywatele polscy żydowskiego pochodzenia poczuli się bowiem do żywego dotknięci potępieniem przez Wł. Gomułkę agresji dokonanej przez Izrael na Synaju. Uznano to za kłamstwo, za przejaw antysemityzmu władz polskich, jakby za dalszy ciąg prześladowań hitlerowskich itp.

Nastąpił szereg faktów, wypowiedzi i decyzji, dziś wszechstronnie opisanych i chętnie przypominanych, chociaż wówczas nie bardzo znanych szerszemu ogółowi w naszym kraju. Gomułka pozwolił też wtedy, wydawało się, że wspaniałomyślnie, na wyjazdy z Polski tych wszystkich obywateli żydowskiego pochodzenia, którzy taką chęć wyrażali. Faktycznie wyjechało bardzo wiele osób, często całymi rodzinami. Dla niektórych była to realizacja ich marzeń, które nie mogli wcześniej spełnić wobec ścisłej reglamentacji zezwoleń na wyjazdy zagraniczne. Dla wielu innych rozstanie się ze swą dotychczasową ojczyzną było bardzo bolesne. W Polsce zamieszkiwali wszak od dzia-
da-pradziada, mieli swe warsztaty pracy, przeżyli złe czasy i swe radości. Jednakże silniejszy był zew krwi do nowej ojczyzny, która potrzebowała ich do zasiedlenia nowych terenów i zasilenia swej gospodarki.

Gwoli prawdzie trzeba jednak stwierdzić, że większość emigrantów żydowskich wyjechała wówczas nie do Izraela, lecz w ogóle na Zachód, w tym głównie do Stanów Zjednoczonych. Dzisiaj całą tę emigrację określa się jako przymusową, przeprowadzoną na siłę przez władzę ludową. A przecież, gdy pamięć szwankuje, wystarczy pomyśleć: gdyby tak rzeczywiście było, to w pierwszej kolejności władze pozbyłyby się aktywnych działaczy opozycyjnych, a ci bynajmniej nie wyjechali.

Natomiast faktycznie ujawniły się wtedy, nawet w najwyższych gremiach władzy, wyraźne nastroje antysemickie i miały miejsce względnie liczne przypadki represji wobec obywateli pochodzenia żydowskiego. Przejawiały się one zwłaszcza w degradacji lub zwolnieniach ich z pracy na eksponowanych stanowiskach. Taki przypadek dotknął też generalnego projektanta Nowej Huty inż. arch. Tadeusza Ptaszyckiego, który 2.VII.1968 r. zwolniony został ze stanowiska dyrektora Miastoprojektu-Kraków i to właściwie bez bliżej określonego powodu. Ja osobiście, dopiero po wielu latach, zorientowałem się, że przyczyną tego nagłego zwolnienia mogło być jego żydowskie pochodzenie, o czym nie miałem zielonego pojęcia, zresztą nie miałoby to dla mnie najmniejszego znaczenia.

W marcu 1968 roku dysydenckie, kontestujące koła studenckie i młodych intelektualistów grały już znaczące, pierwszoplanowe role w zmaganiach z gomułkowską władzą. Co wówczas się działo dziś już wszyscy dokładnie wiemy, w przeciwieństwie zresztą do tamtego okresu, gdy właściwie poinformowani byli tylko słuchacze radia "Wolna Europa". W każdym bądź razie w moim środowisku biura projektowego, jak zresztą we wszystkich zakładach pracy, marcowe protesty studenckie nie wywołały żadnych reperkusji. Zapoznawane były jedynie z prasy i były właściwie prawie niezauważalne.

W czerwcu 1968 r. Maciek otrzymał pierwsze swe świadectwo szkolne z ukończenia pierwszej klasy szkoły podstawowej z ogólną dobrą oceną. Nie mogło być inaczej,

gdyż opuścił aż 81 dni nauki, w większości z powodu anginy i przeziębień, które go wtedy nadmiernie prześladowały.

Zaraz w pierwszych dniach wakacji znów odwiozłem obu chłopców do dziadków w Kępnie. Tam już byli Janusz i Grażyna, a niedługo, podobnie jak w poprzednich latach, przyjechała ciocia Nela z Próchenek. Nie było jedynie mej siostry. Miała ona w maju wylew krwi do mózgu i przebywała jeszcze w szpitalu. Po wyjściu z niego przyjechała też do Kępna, natomiast przestała pracować zawodowo na dłuższy okres czasu. Dla naszych chłopców te wakacje u dziadków były prawie dokładną repliką wakacji z lat ubiegłych. Trwały jednakże nieco krócej, gdyż w ostatnich dniach lipca Kasia przywiozła maluchów do Krakowa.



Po czym pojechaliśmy na dwa tygodnie sierpnia do Białki Tatrzańskiej. Wynajęliśmy tam jedną izbę w domu miejscowego górala. We wsi roiło się od takich letników z małymi dziećmi, jak my, zamieszkałych w prywatnych kwaterach. Bo Białka Tatrzańska to stylowa, stara wieś podhalańska w pobliżu Bukowiny Tatrzańskiej, rozciągnięta malowniczo wzdłuż bystrej rzeki Białki, wypływającej z Morskiego Oka. Blisko stąd do Zakopanego, to też już w drugim dniu pobytu pojechaliśmy autobusem do tej tatrzańskiej stolicy. Była piękna, słoneczna pogoda, więc wróciliśmy do Białki Tatrzańskiej dopiero wieczorem.

Nasz gospodarz miał małe, bodaj dwuhektarowe gospodarstwo rolne, złożone z czterech kawałków gruntu, rozrzuconych w promieniu wielu kilometrów. Uderzało ubóstwo rodziny gazdy. Przede wszystkim odżywiali się oni bardzo skromnie i monotonnie, a głównym ich pożywieniem były gotowane kartofle, które lekko omaszczone, zjadane były z kwaśnym mlekiem. Tym niemniej gazda miał swe obyczajowe chwile rozpusty i co sobotę gościł wieczorem w niedalekiej gospodzie, skąd o zmroku wracał na rauszu z głośnymi przyśpiewkami do domu.

Raz pojechałem z nim na konnej furce, aby mu pomóc w pracach polowych i nie mogłem się nadziwić, jak on w ogóle trafił na to swoje poletko, wśród dziesiątków innych, identycznych zagonków. Miał też spory sad i to było świetne miejsce dla harców naszych synów, którzy zaprzyjaźnili się także szybko z młodym, białym owczarkiem, jaki wszędzie towarzyszył naszemu gospodarzowi. Ale przede wszystkim to chłopcy hołubili własnego kotka, rasową syjamkę Czikę. Mieliśmy ją od kilku miesięcy i była ona obiektem uwielbienia nas czworo, ale głównie Maćka. W tej samej chacie, lecz od strony podwórka, wynajmowała jedną izbę również koleżanka szkolna mej żony Halina Cabaj. Przyjechała ze swą kilkuletnią córeczką i często przebywała w naszym towarzystwie. Chodziliśmy na krótsze i dłuższe spacery, zwykle wzdłuż rzeczki Białki w kierunku Bukowiny Tatrzańskiej.

W Zakopanem

Byliśmy już kilka dni w Krakowie, gdy w nocy 19/20 sierpnia obudził nas długotrwały łoskot przelatujących nad miastem dziesiątków czy setek samolotów. Na drugi dzień dowiedzieliśmy się, że były to wojskowe samoloty transportowe, które lądowały w nocy i rano na lotniskach Czechosłowacji. W dniu tym nastąpiła bowiem interwencja wojskowa 5 państw Układu Warszawskiego, kładąca kres tzw. "praskiej wiośnie". Mianowicie, podobnie jak we Francji, Hiszpanii, Polsce, również w Czechosłowacji wio-

sna 1968 roku była bardzo niespokojna. W czeskich środkach przekazu narastała krytyka niedociągnięć w polityce gospodarczej i naruszeń praworządności, zaś kręgi opozycyjne domagały się liberalizacji w gospodarce, zdecentralizowania zarządzania przedsiębiorstw państwowych, demokratyzacji wszystkich sfer życia publicznego, współpracy bez ograniczeń z państwami kapitalistycznymi itd.

Dokonane zostały wtedy zmiany składu rządu i naczelnych władz KPCz i zaczęło się wdrażanie części postulowanych reform. Gdy w lipcu nastąpiła radykalizacja ośrodków kierujących "praską wiosną" i rząd nie panował już w pełni nad przemianami, państwa Układu Warszawskiego oceniły sytuację jako zagrażającą łaadowi socjalistycznemu i, po bezskutecznych ostrzeżeniach, zdecydowały się na interwencję wojskową. Dokonana została ona 20 sierpnia z terenu NRD, Polski, ZSRR i Węgier.

Poza Europą w latach 1966-68 też nie było spokojnie. Stany Zjednoczone AP coraz bardziej wkiwały się w wojnę w Wietnamie Południowym, zwiększając swój korpus interwencyjny do ponad pół miliona żołnierzy. Amerykanie interweniowali także w Dominikanie, gdzie wcześniej miał miejsce wojskowy zamach stanu. W Afryce trwała wojna domowa w Kongo Belgijskim, a w kilku krajach Ameryki Południowej dokonane zostały kolejne zamachy stanu. Zakończyła się natomiast wojna pomiędzy Indiami i Pakistanem o prowincję Kaszmir.

Kosmosie USA skutecznie doganiały już Związek Radziecki, wysyłając na Księżyc sondy badawcze "Surveyer" i pierwszy statek załogowy "Apollo VIII" z trzema kosmonautami, który okrążył Księżyc i bezpiecznie wrócił na Ziemię. Za to Rosjanie dokonali pierwszego próbnego lotu naddźwiękowego samolotu pasażerskiego TU-144. W październiku 1968 r. odbyły się światowe igrzyska olimpijskie w Meksyku. Polska ekipa sportowa, niezmiennie w dobrej formie, uzyskała 18 medali. Złoto znów zdobyła nasza biegaczka Irena Kirszenstein-Szewińska, a w boksie Jerzy Kulej.

W tych trzech latach gospodarka polska wzbogaciła się o szereg dużych zakładów przemysłowych. W Nowej Hucie uruchomiono ostatni, piąty już, wielki piec hutniczy, dzięki czemu zdolność produkcyjna kombinatu wzrosła do 6 milionów ton stali rocznie. Oddano do użytku wielki kombinat produkcji nawozów azotowych w Puławach, duże elektrownie w Pątnowie i Solinie, kilka kopalni węgla kamiennego, rudy miedzi oraz siarki rodzimej i wiele innych obiektów.

W sierpniu 1968 r. zaprzyjaźniliśmy się z pewnym młodym małżeństwem, p. Basterami, mieszkającym w tym samym bloku spółdzielczym, co my. Jego znałem już wcześniej, gdyż pracowaliśmy w tym samym biurze projektowym, on na stanowisku starszego projektanta instalacji sanitarnych. Nie znałem jednak jego żony, a dla Kasi obydwójce byli w ogóle ludźmi obcymi. Trzeba było trafu, że spotkaliśmy się przypadkowo na niedzielnej wycieczce w Ojcowskim Parku Narodowym w Dolinie Prądnika w trakcie zwiedzania jaskini Łokietka. My byliśmy ze swymi dwoma synami, oni ze swoim jedynakiem, nieco starszym od Maćka. Odtąd odwiedzaliśmy się od czasu do czasu w swoich mieszkaniach na maleńkich poczęstunkach, ale głównie po to, by pograć w ulubionego brydża. Chodziliśmy też niekiedy razem na różne wycieczki i imprezy rozrywkowe.

W ogóle w naszym trzyklatkowym bloku spółdzielczym jest 58 mieszkań. Zaś na naszej klatce schodowej aż 28 mieszkań, w tym osiem na przyległej przeziwazce. Oczywiście znaleźmy tylko nieznaczną część współlokatorów. Na naszej klatce schodowej, prócz p. Basterów, znanych nam było nieco bliżej jeszcze tylko 5-6 rodzin.

Na najwyższej, szóstej kondygnacji zamieszkiwał mój kolega architekt Jurek Pilitowski, pracujący w biurze projektowym "Miastoprojekt Kraków". Jego żona Maria Nowotarska-Pilitowska dla odmiany była koleżanką szkolną mej żony. Była ona przez wiele lat znaną aktorką dramatyczną w Teatrze im. J. Słowackiego w Krakowie. Później oby-

dwoje emigrowali, już na stałe, do Kanady, w której potem Maria Nowotarska podbiła swym kunsztem aktorskim tamtejszą Polonię, jak ongiś Helena Modrzejewska całe Stany Zjednoczone.

Na przewiązce obok nas zamieszkiwał też mój kolega architekt Janusz Meissner wraz z żoną i kilkunastoletnim wówczas synem. Zajmowali dwupoziomowe mieszkanie, jakie pierwotnie spółdzielnia nam proponowała. Kasia jednakże nie chciała w takim mieszkaniu mieszkać i dokonaliśmy wzajemnej wymiany. Ich syn był dosyć niesforny i potrafił płaćć nieźle figle. W pewnym okresie czasu, co kilka dni znikwały z przed naszych drzwi wejściowych flaszki z mlekiem, jakie rozwoziły wczesnym rankiem po całym mieście specjalne samochody dostawcze. Była to sprawka naszego młodego sąsiada, który te flaszki zrzucił z galerii na betonowy daszek wejścia do budynku i obserwował jak mleko spływa do rynny. Później cała rodzina Meissnerów wyjechała do Francji.

Dwa piętra wyżej zamieszkiwali p. Sawczykwowie, mający syna Jacka w wieku naszego Grzesia. On pracował jako taksówkarz, ona jako robotnica w Zakładach Farmaceutycznych "Polfi". Gdy obydwaj byli w pracy, to Jacek, po ukończeniu nauki w szkole, waleśał się niekiedy po podwórku i okolicy. Bywało, że w czasie deszczu lub mroźnej pogody przychodził do nas, lub sami go przywoływaliśmy. On też wraz z mamą wyemigrowali później do USA.

Starsze małżeństwo, p. Janowscy, mieszkający obok, służyło nam ze wzajemnością różnymi drobnymi usługami, jak pożyczki cukru, czy soli, w przypadku ich nagłego braku itp. Gdy wyjeżdżaliśmy na urlop, to dawaliśmy klucze p. Janowskiej, która opiekowała się naszym kotkiem Czika i podlewała kwiaty w naszym mieszkaniu.

Zaś pod nami na parterze był prywatny gabinet stomatologiczny. Żeby wyrwać lub zaplombować zęba, nie musieliśmy więc nawet ubierać butów ani płaszcza. A z zębami, zarówno ja, jak i żona, zawsze mieliśmy pewne kłopoty. I obydwaj bardzo niechętnie chodziliśmy do naszego blokowego dentysty, gdyż leczenie zębów, szczególnie borowanie, zwykle było bolesne, w każdym razie bardzo nieprzyjemne.

Akurat w tym czasie radio doniosło, że w Poznaniu rozpoczęto eksperymentalne stosowanie specjalnej pasty, neutralizującej ból zębów przy ich borowaniu. Kasia zadzwoniła do wynalazcy tej pasty dra Stawińskiego i umówiła się z nim na zabieg w określonym dniu. Później jeszcze dwukrotnie wyjeżdżała do tego eksperymentalnego gabinetu dentystycznego w Poznaniu, a raz to zabrała ze sobą Maćka, który też miał problemy ze swymi ząbkami.

Pod koniec lat sześćdziesiątych Kraków zafundował sobie budowę dużego zespołu różnych baz produkcyjno-magazynowych, dla których przeznaczono obszerne, wydzielone tereny w dzielnicy Płaszów, w sąsiedztwie towarowej stacji kolejowej. Nasze biuro otrzymało zlecenie na opracowanie dokumentacji projektowej na budowę dwu z nich. Zlecenia te trafiły do mojej pracowni. Były to: zespół baz "Poszukiwania Naftowe", dla których generalnym projektantem została H. Malinowska, oraz baza "Cenpo", jaka przypadła do zaprojektowania D. Mazurowej. Oba przedsięwzięcia inwestycyjne składały się z wielu obiektów kubaturowych i licznych urządzeń technicznych, jak bocznice kolejowe, rampy wydładowcze, suwnice itp. Dokumentację techniczno-roboczą na poszczególne obiekty wykonywaliśmy potem sukcesywnie i zajęło nam to prawie dwa lata.

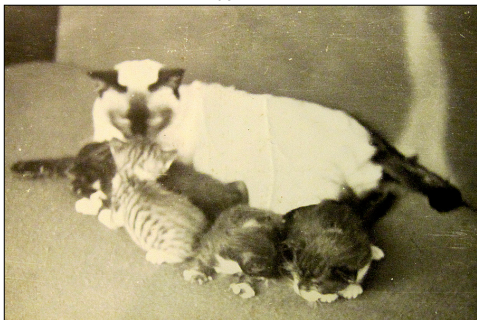
We wrześniu przyjechała z Wrocławia moja siostra Halina. Zabawiła u nas trzy dni, w trakcie których kilka razy "pochodziliśmy" po Starówce krakowskiej. Bardzo się jej Kraków podobał. Siostra, w związku z przebytymi chorobami, aktualnie nie pracowała zawodowo. Natomiast w październiku pojechała do sanatorium w Ciechocinku na trzytygodniowy pobyt leczniczy.

W listopadzie nasza kotka Czika powiła cztery kotki, jako konsekwencja jej po-

dwórkowych spacerów w Białce Tatrzańskiej. Ona sama rasowa syjamka, o biało-beżowej sierści i czarno-brunatnych uszkach, mordce, łapkach i ogonku, a jej kocięta bure i pręgowane, jak najzwyczajniejsze podwórkowce. Ale po kilku tygodniach, kotki brykały i dokazywały wesoło wokół swej mamusi, najwidoczniej nie żałującej popełnionego na wczasach megaliansu.

Święta Bożego Narodzenia spędziliśmy przy choince, wspólnie z naszymi przyjaciółmi Stachniakami. Nasi chłopcy mieli dodatkową atrakcję, gdyż wzięli udział w dużej, wspaniałej zabawie dla dzieci, organizowanej w Miejskim Domu Kultury przy ul. Krowoderskiej.

Natomiast zaraz po świętach wyjechaliśmy z dziećmi do Wrocławia. Byli tam już mój ojciec i ciocia Nela, więc był to jakby mały zjazd rodzinny. Głównym jego akcentem było udanie się na cmentarz na Sępolnie do urządnego już dużego grobowca mamy szwagra, w którym spoczywała jeszcze żona jego brata. W mniejszym gronie zwiedzaliśmy potem śródmieście Wrocławia.



Syjamka Czika i jej 4 kocięta